Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK 6 WARSZAWA—1933— 20 SIERPNIA NUMER 28

REDAGUJE KOMITET

TREŚĆ: ST. ASTÉ — Pomniejszyciele roli rozumu. W. PONIECKI — August Bebel. I. MYŚLICKI — Spinoza i ideał człowieka. H. WR. — „Socjalizm a walka z obskurantyzmem“. W. RULIKOWSKI—Warchoły konkordatowe. ANTONI ŻBIKOWSKI — Jan Czerski. KRONIKA. Z PRASY. Z KSIĄŻEK.

Pomniejszyciele roli rozumu

> Nie należy zamykać zdobyczy wiedzy po szafach, do których klucze mieliby tylko wybrańcy. Niechaj wyniki nauki szeroko się upowszechnią, a tylko rzeczy zbyt od życia oderwane pozostaną pochowane po szafach.

Jest pewna kategorja osób ogromnie lubująca się w pomniejszaniu doniosłości nauki, oświaty, a nawet rozumu. Za moich czasów można było słyszeć z ust nierozsądnego nauczyciela, gdy uczeń zaczynał się usprawiedliwiać „ja myślałem, że...“ uwagę: „indyk myślał i zdechł“, albo „głowę mu ucięli“. Nie wiem, dlaczego właśnie indyk doznał tak zaszczytnego wyróżnienia z pośród zwierząt, dość jednak wyraźny z tego wniosek, że: myśleć nie należy. I to się słyszało z ust nauczycieli!

Jakże się podoba wielu owo Sokratesowe: „to (przynajmniej) wiem, że nic nie wiem“. Sokrates użył tego zdania, krytykując kierunki filozoficzne poprzedzające jego umysłowość, ale gdyby nawet miał użyć go w znaczeniu ogólnem, byłoby to zupełne bankructwo umysłu. Tak źle nie jest. Wiemy już dużo, bardzo dużo, czego za jego czasów zupełnie nie wiedziano. Wiemy, jakie dalsze kraje otaczają Grecję, czego ówcześni dokładnie nie wiedzieli, wiemy wogóle wiele

o ziemi, o jej składzie, dziejach, o powstaniu jej i ludzkości. Żadną miarą nie można się zgodzić na to zdanie.

Nim wskażę źródła owej radości osób, którym owo zdanie Sokratesa tak do gustu przypada, pragnę omówić jeszcze tak zw. „intuicję“, której znaczenie i doniosłość bezprzykładnie została nadużytą od czasu wystąpienia H. Bergsona, francuskiego filozofa. Są tacy, którzy mówią o pewnych rzeczach bez dokładniejszego zapoznania się z nimi, powołując się na ową intuicję, są tacy, którzy rysują i malują „z intuicji“; owa „intuicja“ staje się aniołem opiekuńczym w wypadkach wątpliwych.

Cóż to za nowy anioł stróż?

Przyjrzyjmy się mu bliżej. W istocie w pewnych wypadkach dość na kogoś spojrzeć, żeby do niego nabrać lub nie nabrać zaufania, żeby uznać, że ten człowiek jest rozsądny, inteligentny, uczciwy i t. d. lub, że nim nie jest.

Ale są to wypadki nieliczne. Gdyby je dokładniej przeanalizować, to zobaczymy, że nawet w nich posługujemy się rozumowaniem, opartem na drobiazgowych spostrzeżeniach, ale tak licznych i częstych, że wyciąganie z nich wniosków dokonywa się w sposób bardzo uproszczony i szybki, tak, iż zdaje się niekiedy jakgdyby owego rozumowania wogóle nie było, a poznanie dokonywało się odrazu, bez jakiegokolwiek wnioskowania. Ale owo zbieranie materjału do wnioskowania i samo wnioskowanie niewątpliwie się dokonuywa, tylko uchodzi naszej uwagi. Inaczej czyta dziecko uczące się dopiero umiejętności sylabizowania, inaczej człowiek, który wiele czytał, ale niewątpliwie on także sylabizuje, tylko robi to z niebywałą wprawą i szybkością, tak iż się zdaje, że odczytuje odrazu całe wyrazy. Podobnie z rachowaniem u ludzi niemających w tem wprawy i u wprawnych i biegłych rachmistrzów.

Bez materjału poznawczego niema samego poznania, niema wniosków. Z niczego nic nie powstanie, a „z intuicji“ może się rodzić tylko głupstwo. Powoływać się na nią mogą tylko nieucy. Oczywiście nie znaczy to, żeby wogóle nigdy nie miała ona odgrywać pewnej roli.

Obcą nazwą, wyrazem tajemniczym chce się nadać sankcję swemu brakowi wykształcenia, lenistwu w wysiłkach, celem zdobycia wiedzy.

Nie jest owa intuicja niczem innem, jak nowym wyrazem, zastępującym dawny, już dla pewnych sfer przestarzały: „objawienie“ religijne. Cóż to za różnica? Dawniej rozmodlony, postami wygłodzony mnich dochodził do przekonania, że w pewnym momencie przemawia do niego lub przez niego sam bóg; jeśli był wstrzemięźliwcem, to mu się ukazywała matka boska niezwykłej piękności, zakonnicom Jezus oświadczający im, iż jest Miłością (przez wielkie M.). Jeśli dołączał się do tego pierwiastek macierzyńsko-ojcowski, to tęsknota wyrażała się w postaci „dzieciątka Jezus“, choć Jezus dawno wy-

szedł z okresu dzieciństwa i doszedł przed śmiercią do wieku niemal średniego. Wszystko to były „objawienia", które owi poczciwi mnisi i mniszki traktowali nie jako wytwory swej chorej wyobraźni, ale realnie.

Teraz o owych „objawieniach" już coraz to mniej się słyszy. Zamiast Gabrjela, który przemawiał do Mahomeda, zamiast boga—którego wola działa w Jezusie, mówi się o intuicjach, czyli poznaniach, którym towarzyszy bez żadnego powodu bezwzględna pewność... nieuctwa.

Inni znowu mawiają, że „ciekawość to pierwszy stopień do piekła". Ciekawość, ten czynnik odkrywczy, który tylu badaczy wiódł ku nowym dziedzinom wiedzy, innych ku wynalazkom, ta zaleta, którą przedewszystkiem rozwijać i pielęgnować należy, zostaje potępiona, a u głupich matek zapytywanych przez dzieci o objaśnienia, słyszy się niejednokrotnie: „coś taki ciekawy!?"

Inni wreszcie zamiast mówić o „innych przekonaniach", co pokrywa właściwie zupełny ich brak, wyrażają się górnolotniej i umiejętniej. Oni mianowicie nie mogą się zgodzić na „metodę", stosowaną do pewnego zagadnienia. Już wielokrotnie zauważyłem, że owe tyrady o metodzie, względnie o metodach, to także pewna, bardziej umiejętna forma zawracania głowy, nieuctwa lub lęku przed nowemi, śmiałemi myślami. Zwłaszcza popłaca ten sposób u naukowców jednostronnych, u lękliwych obuczeńców, którzy zdobyli pewien zasób wiedzy, ale daleko im do nauki. Oni to będą przestrzegali przed wyciąganiem „zbyt pochopnych" wniosków, albo wogóle przed wyciąganiem wniosków, bo one mogą ulec zmianie. Urodzeni lojaliści względem dawnych tradycyj, lękliwcy myśli syntetycznej, nowej, skwapliwie będą powoływali się na ułomność umysłu ludzkiego, jego granice, nie umiejąc wskazać żadnej innej władzy poznawczej, któraby choć w części dała takie „ułomne wyniki", jak ów pogardzony rozum. Oni to skwapliwie będą deklamowali mickiewiczowe bzdury: „Rozumie, tyś mały przed Panem", albo podkreślali, że więcej do nich przemawiają „prawdy żywe", niźli „mędrca szkiełko i oko", choć właśnie to, co owe „mędrca szkiełko i oko" wypatrzyło, należy do owych prawd żywych, niezależnie od roli uczucia, tak zlekceważonego w epoce walki klasyków z romantykami, a tak rozwichrzonego u romantyków, że przydałoby mu się przy całej jego doniosłości w życiu ludzkiem trochę klasycznego spokoju i zrównoważenia. Oni to wreszcie za Krasińskim skwapliwie powtórzą „Galilejczyku, zwyciężyłeś!" (nad rewolucyjną i postępową myślą*).

*) Zdumiewający jest ów barani zachwyt nad temi tyradami „Nieboskiej Komedji" Z. Krasińskiego, zohydzającemi myśl rewolucyjną, przedstawiającemi rewolucję jako rzeź, żydów ostrzących na brusach noże na gojów, nabożeństwa ideowe obozu rewolucyjnego jako rozpustę, herby jako coś, co „z boską pomocą" rozmnażać się będzie. Ale na rękę to klerykalizmowi epoki bieżącej, dlatego nikt tego zachwytu nie poddaje otrzeźwieniu.

Nie chcę powiedzieć, żeby w istocie metody nie było potrzeba w badaniu i w dyskusji. Ale jeśli komu, to właśnie owym pomniejszycielom roli rozumu brak owej metody, a w dyskusji mają i stosują najchętniej metodę jej urywania przez odbieranie głosu interlokutorowi (rozmówcy), jeśli to tylko leży w ich mocy.

Symbolem ich lękliwych umysłów, to index książek zakazanych, których wiernemu katolikowi czytać nie wolno, ale o których wolno mu dyskutować ile tylko zechce.

Wszystko to zmierza do tego, żeby po zdyskredytowaniu rozumu tem skwapliwiej dać możność do panoszenia się na jego gruzach religji. Uczeni są niezgodni, ale religja daje „prawdę żywą". „Systematy filozoficzne giną, a msza wciąż się odprawia"; moglibyśmy Sienkiewiczowi na to powiedzieć, że jednak coraz to mniej osób jej słucha.

Ci „metodyczni" dyskutanci będą głosili tyrady o *pysze* rozumu ludzkiego, o *pysze* uczonych, ilekroć nie będą się owi uczeni zgadzali z religją. Tymczasem sprawa ma się naodwrót: pysznymi są owi pomniejszyciele rozumu w swem bezgranicznem lenistwie umysłowem.

Dwie są kategorje krańcowe umysłów: jedni mają umysły twórcze, odkrywcze, badawcze, ciekawe, wiecznie wymagające pokarmu nowego; to naukowcy, poeci, artyści. Inni — umysły ospałe, lękające się wszelkiej nowej myśli, jakiegokolwiek wysiłku. Dla tych doskonałem uzasadnieniem ich bezwładu są indyki niemyślące, lęk przed „pierwszym" stopniem do piekła, „intuicje" ukrywające nieuctwo i sokratesowe, „to wiem, że nic nie wiem".

Bo jeśli nic pewnego niema, to pocóż badać, poco wysiłek umysłu, skoro chlubą ma być ubóstwo umysłowe? A nawet, jeśli się coś wie—a jest tego mało,—to jakże łatwy przeskok do zupełnego nieuctwa, zwłaszcza, kiedy słabnące władze umysłowe spłukują resztki nauki zdobytej w szkole? Nigdy czegoś podobnego nie usłyszy się z ust kapłanów wiedzy, odkrywców. Nawet drobna wiadomość napełnia ich radością! Bo oni znają rozkosze odkrycia i wzbogacania umysłu nowemi wiadomościami i zarazem usprawniania jego władz. Kto jednak ma mało groszy, u temu łatwo przejść do zupełnego ubóstwa bezpieniężnego; różnica już niewielka; kto jednak posiada wielkie zasoby pieniężne, ten tak lekko nie będzie się wyrażał o braku środków. Podobnie i z wiadomościami.

Są typy, które nietylko nic nie posiadają w umyśle, są krańcowymi proletarjuszami oświaty, ale lękają się nawet dyskusji, bo „*mają inne przekonania*". W gruncie rzeczy nie mają żadnych, a lękają się tylko wysiłku umysłu, potrzebnego do ich zdobycia. „Głupich leczyć nie umiemy, ale można ich unikać" (Wład. Dawid).

Ci, którzy samodzielnie myśleć nie umieją, mają zazwyczaj szczególny *kult* dla *autorytetów*. Lubią się na

nie powoływać, nazywać ich „świetnemi“, „znakomitemi“, choć cała ta znakomitość ogranicza się zazwyczaj do pewnego tylko działu. Ale powołując się tylko na nich, czują się niejako pod ich opiekuńczemi skrzydłami, tamci za nich myślą, oni myśleć nie potrzebują. Zdaje się im przeto, że niejako na nich spada część tego blasku, jaki tamtych otacza. Jakże to dalekie od umysłów naprawdę samodzielnych. Ci autorytetów nie znają. Sami muszą wszystko przemyśleć, a jeśli nawet tak się sprawy układają, że wszystkiego przemyśleć nie mogą, to jednak czują tę swoją samodzielność umysłową.

Jeszcze gorzej ma się sprawa, gdy od owych „znakomitych“ wielkości dzieli nas epoka. Wtedy wielcy ludzie stają się jeszcze większymi w perspektywie wieków, jeśli patrzymy nie tylko na ich czyny, ale i na skutki tychże, których bezpośrednio sprawcami oni nie byli, ale których bez nich nie byłoby. W tej aureoli ich postać zatraca coraz więcej cechy oryginalne, życioryśnicze, coraz to bardziej się uogólnia, staje niezależną od miejsca i czasu, i staje się znakiem zewnętrznem idei, proporcem, hasłem. Idea przerasta ich życie, ich osobę, która się staje tylko punktem krystalizacyjnym wielkiego ruchu. Stąd-to pochodzi, że wielcy ludzie z bliskiej perspektywy maleją.

Jest wreszcie kategorja ludzi, którzy, ilekroć razy mowa o krytyce poglądów zastarzałych, a w bieżącej epoce mających pełne prawa obywatelstwa, tylekroć powołują się na jakąś „p o d ś w i a d o m o ś ć“, w której rzekomo należy szukać ich uzasadnienia. Jest to także pewna forma pseudo-naukowych argumentów polemicznych, będąca w gruncie rzeczy zwyczajnem zawracaniem głowy. To, co jest „podświadomem“, to wogóle dyskusji podlegać nie może, bo się o tem nie wie. Nawet tego nie można na pewno powiedzieć, czy wogóle coś takiego istnieje, co się nazywa podświadomością. To może być zwyczajna etykietka na flaszce, w której nic niema. Cóż dopiero, jeśli ową rzekomą „podświadomością“ chce się uzasadnić np. racjonalność religji z jej wyraźną i świadomą treścią, np. nieomylnością papieża, niepokalanem i pokalanem poczęciem, grzechem pierworodnym i t. p. Cóż to ma z „podświadomością“ wspólnego. Toteż najlepiej wtedy polemikę sprowadzić na owe realne i świadome zagadnienia, a skończy się z wszelką „podświadomością“, która odsłoni nieuctwo i bezmyślność owych „podświadomych“, lękających się poprostu polemiki i konieczności myslenia.

Trudniej ma się sprawa tam, gdzie ma się do czynienia z owemi błogostanami uczuciowemi, prześwietlającemi całą duszę i nadającemi jej cechy jednolitości, którym James poświęcił całą książkę.

I te stany psychiczne można wyjaśnić naturalną drogą. Uczuciowość ludzka ma dążność do rozlewności; przekroczywszy granice swego ja, swej miłości własnej, objąć pragnie osoby najbliższe, potem dalsze, ludzkość całą wreszcie, wszech-

świat. Gdy z powodu rozmaitych przyczyn ów strumień uczucia, dozna zahamowania, wtedy wracając do swego źródła, dokonywa zmian w nim samym, rozsadza go od wewnątrz, rozszerza, pogłębia.

To są owe stany wewnętrznego samozapatrzenia, błogostany, którym nie towarzyszy właściwie żadna treść poznawcza, tylko pewne wszystko obejmujące uczucie. Gdy to pierwszy raz spotyka różne natury niekrytyczne, niewyszkolone w myśleniu lub nieszczęściem na duchu złamane, wtedy najprostszy sposób wyjaśnienia jest przypuszczenie, iż się w nich bóg objawia i daje im jakąś radę, wprowadza je „w stan łaski". Towarzyszą temu stany poniżenia,. depresji i od tego zależne poczucie czegoś wielkiego, co znajduje się poza człowiekiem doznającym, a co ma być owym pierwiastkiem wpływającym na człowieka. Tak też i poniekąd jest. Gdy zapora wstrzymująca strumień życia uczuciowego okaże się zbyt silna, wtedy musi konsekwentnie wyłonić się poczucie jakiegoś ogromu, który na człowieka działa i poczucie swej niższości. Ale trzeba to tylko umieć krytycznie przerobić, a wtedy nie szuka się jakiegoś „boga", dającego stan łaski, jak w widzeniach sennych nie szukamy realności zdarzeń i scenerji, które w nich widzimy. Są to wszystko stany, które przechodzą. Życie jest wiecznem tworzeniem, a nie tylko rozpamiętywaniem własnej próżni, zapełnionej w braku treści jakiemiś „intuicjami" i „podświadomością".

St. Asté

August Bebel

Dwadzieścia lat temu, w uzdrowisku Passugg, w Szwajcarji, zakończył swój pracowity i ruchliwy żywot słynny wódz niemieckiej demokracji socjalnej — A u g u s t B e b e l.

Jeżeli może być mowa o wybitnych postaciach, które uosobiają cały potężny prąd dziejów społecznych, to taką postacią był właśnie Bebel. Pochodząc z ludu, ciężką pracą w młodości zarabiając na życie, potrafił on jednocześnie pokonać warunki nieludzkie, w których wzrastał, zdobyć wiedzę, wyrobić w sobie taką zdolność do czynu twórczego i wznieść się na takie wyżyny ducha, że stanął w jednym szeregu z temi, w których ludzkość czci swych wodzów i przewodników. Dla klasy robotniczej niema bardziej pouczającego i ciekawego życiorysu, jak żywot Bebla, który on sam w swoich pamiętnikach opisał p. t. „Z mojego życia" („Aus meinem Leben").

August Bebel urodził się 22 lutego 1840 r. w Kolonji nad Renem w ubogiej rodzinie podoficera pruskiego. Mając lat 13, był już sierotą, zaznał nędzy i ciężkiej pracy. Po ukończeniu szkoły ludowej, musiał szukać chleba w rzemiośle.

Zwrócił się wtedy do znajomego tokarza, zamieszkałego w Wetzlarze, który go przyjął na praktykę, tłumacząc, że jak słyszał, świetnie zdał egzamin z religji, więc powinien być z niego dobry robotnik. Praca w terminie jednak była ciężka, trwała bez przerwy od godz. 5-ej rano do 8 wieczór. Od warsztatu odchodzono na tyle tylko minut, ile trwał posiłek. Wstając o świcie, musiał Bebel przynosić pani majstrowej osiem wiader wody ze studni i spełniać inne posługi domowe. Za tę pracę dodatkowa otrzymywał 20 groszy na tydzień.

Wychodzić z domu nie wolno było w powszednie dni, a w niedzielę dopiero pod wieczór, po całodziennym targu miał wolną chwilę. Zostawszy po kilku latach czeladnikiem tokarskim, puścił się 1 lutego r. 1858 w obowiązkową podówczas dla czeladnikow wędrówkę, zwiedzając, przeważnie pieszo, całe południowe Niemcy, Austrję, Szwajcarję. Pracował we Frankfurcie, Fryburgu, Heidelbergu, Salzburgu, przewędrował pieszo cały Tyrol, poznając świat i ludzi, przechodząc przez różne przygody i zbierając obfity zapas doświadczenia życiowego. W miastach zazwyczaj wstępował do potężnych wówczas związków czeladników i brał udział we wszystkich, nawet religijnych, uroczystościach tych związków, które przejęte były duchem klerykalnym i religijnym. Tolerancja religijna musiała być dość duża, kiedy w łonie związku godzili się tak łatwo prostestanci i katolicy. Ten sztandar cechowy jednak nie miał zostać sztandarem jego życia. Wnet zamienił go na inny, naprzód na demokratyczny, potem na socjalistyczny.

W roku 1860, szukając pracy, przybył Bebel do Lipska, gdzie zamieszkał na długie lata. Tu założył warsztat pracy i tu wciągnął się w wir życia społecznego, ażeby w nim, po kilku latach, zająć wybitne, przodownicze stanowisko. Niemcy ówczesne przeżywały bardzo ważny i ciekawy okres dziejów wewnętrznych. Był to okres nadchodzącego liberalizmu mieszczańskiego i zarazem okres narodzin ruchu robotniczego. Burżuazja niemiecka przebudziła się z letargu, w jaki popadła po upadku rewolucji 1848 r. i rozpoczęła walkę z panującą reakcją rządową i feodalną. Robotnik był wówczas ciemny, nieoświecony. O świadomości klasowej mowy nie było. Na Zachodzie, za Renem, robotnik, we wszystkich środowiskach przemysłu, staczał krwawe bohaterskie walki o wolność pod hasłem socjalizmu. W Niemczech robotnik o socjalizmie nie słyszał. Bebel opowiada, że w Lipsku nie spotykał robotników, którzyby wówczas wiedzieli coś o działalności Marxa i Engelsa. Mieszczaństwo do robotników nieuświadomionych miało dostęp dość łatwy, ponieważ organizowało związki robotnicze oświatowe, i robotnicy, nie posiadając żadnych przekonań politycznych, ani społecznych, tłumnie zapisywali się na członków. Tą drogą poszedł i Bebel. Życie polityczne w Lipsku było bardzo ożywione. Lipsk w owe czasy uchodził za twierdzę liberalizmu i demokracji. W r. 1861 Bebel zapisał się na członka do nowopowstającego Stowarzyszenia

oświatowego, które rozpoczęło działalność swoją w wielkim stylu. Profesowie lipskiego uniwersytetu prowadzili w nim wykłady. Przy Stowarzyszeniu założono również kółka gimnastyczne i śpiewacze. Bebel wstąpił do kółka śpiewaczego. Później wciągnął się do pracy oświatowej, był wybierany na członka różnych komisji i odznaczył się jako płomienny mówca na zebraniach ogólnych. Bebel jeszcze wtedy był pod silnym wpływem światopoglądu liberałów mieszczańskich.

W tym też czasie na widownię publiczną zaczęła występować klasa robotnicza. Jęła ona tworzyć się w okręgach fabrycznych prowincji Nadreńskiej, Saksonji i Śląska. Ponieważ robotnicy pierwotnie wygłaszali swoje żądania pojedyńczo i bezładnie, działacze ze sfer mieszczańskich zabrali się do pracy nad ich organizowaniem. Poseł Schultze-Delitsch wyjaśniał im rolę samopomocy i zalecał zakładanie wolnych związków wytwórczych. Rady te dobre były dla drobnych majstrów, ale nigdy dla robotników fabrycznych. To też wystąpił przeciwko nim Lassalle, niezwykle potężny i posiadający dar porywania tłumów mówca; wyszydzał on nędzne środki, przy których pomocy Schultze-Delitsch pragnął obalać niesłuszny podział pracy i kapitału. Tłumaczył robotnikom, jak wielkim błędem jest usuwanie się od polityki: powinni oni właśnie wypisać na swym sztandarze walkę o powszechne i równe prawo wyborcze, które da im możność wpływania na bieg spraw państwowych. Robotnicy jednak obojętnie przyjmowali hasła radykalne wielkiego trybuna niemieckiego. Nawet Bebel wypowiedział się w mowie publicznej przeciwko powszechnemu prawu wyborczemu, motywując swoją niechęć niedojrzałością polityczną robotników.

W kwietniu 1863 r. Lassalle przybył do Lipska i wygłosił słynną swoją mowę na temat „Przyczynek do kwestji robotniczej". Bebel wspomina, że mowa ta, wbrew przypuszczeniom Lassalle'a, nie uczyniła bynajmniej wielkiego wrażenia. Miała jeden rezultat: 23 maja 1863 r. został założony przez Lassalle'a w Lipsku „Powszechny niemiecki związek robotniczy". Powstanie tego związku wywołało w niemieckiej klasie robotniczej potężne wrzenie. Wszędzie tworzyły się frakcje, wzajem się zwalczające i walka tych frakcji trwała długie lata aż wreszcie doprowadziła do zjednoczenia na gruncie wzajemnych ustępstw. W Lipsku powstanie związku miało przedewszystkiem jeden skutek: Stowarzyszenie oświatowe i stowarzyszenie robotnicze „Naprzód", prowadzące dotychczas namiętną walkę ze sobą, zlały się w jedną organizację—w Robotnicze stowarzyszenie oświatowe. Bebel został wybrany na drugiego jego przewodniczącego, a w parę lat potem na prezesa. Na tym stanowisku uległ Bebel radykalnej przemianie wewnętrznej — został socjalistą. W r. 1869 wśród robotników niemieckich wytworzył się inny jeszcze prąd, zbliżony do

kierunku Marxa i przeciwny układom z władzą państwową: odbył się zjazd niemieckich stowarzyszeń w Norymberdze, na którym, przy udziale Bebla, większość uchwaliła, jako obowiązujący dla siebie, program Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego. Był to program wyraźnie marksistowski.

Jest ogólne mniemanie, że Bebel został socjalistą pod wpływem Wilhelma Liebknechta, bojownika z r. 1847, w który w r. 1865 powrócił z wygnania z Londynu i spotkał się na polu pracy społecznej z Beblem. W pamiętnikach w swoich Bebel nie zaprzecza zasadniczych wpływów starszego towarzysza.

„Liebknecht był o lat 14 starszy ode mnie, i w czasie, gdyśmy się poznali, miał już wielkie doświadczenie polityczne. Posiadał gruntowne wykształcenie naukowe, jakiego ja nie miałem. Prócz tego przeżył lat 12 w Anglji, gdzie był w bliskich stosunkach z takiemi ludźmi jak Marx i Engels, od których wiele mógł się nauczyć. Jest rzeczą naturalną, że dzięki temu wszystkiemu Liebknecht musiał mieć na mnie wielki wpływ. Byłoby hańbą zarówno dla niego, gdyby on tego wpływu nie wywarł, jak dla mnie, gdybym niczego od niego się nie nauczył... Ale socjalistą zostałbym i bez niego, gdyż wtedy, gdy go poznałem, byłem na drodze ku temu. Prowadząc ciągłą walkę z lassalczykami, musiałem dla poznania ich poglądów czytać dzieła Lassalle'a i pod ich wpływem zaczęła już we mnie dokonywać się zmiana. Dalej postępowanie liberałów w parlamencie i poza parlamentem wzbudzało u nas coraz większe niezadowolenie, i aureola, którą byli otoczeni w naszych oczach, znikała. Najbardziej oburzał nas stosunek przywódców liberalizmu do sprawy robotniczej. Wobec tego znajomość z Liebknechtem tylko przyśpieszyła moje nawrócenie się na socjalizm. To samo mogę powiedzieć o twierdzeniu, że Liebknecht uczynił ze mnie marxistę... Najbliższe prawdy jest to, że ja, jak wszyscy socjaliści ówcześni, przyszedłem do Marxa przez Lassalle'a wcześniej, niż do rąk naszych wpadła jakakolwiek książka Marxa lub Engelsa"...

W 1867 r. Bebel, licząc zaledwie 27 lat życia, został wybrany do parlamentu niemieckiego. Wybierany był na wszystkich wyborach, z wyjątkiem 1881 r., kiedy pod naciskiem praw przeciwko socjalistom utracił mandat w Saksonji. Ale zaraz w następnym roku partja wystawiła jego kandydaturę w Hamburgu, gdzie był wybrany ogromną większością głosów.

W czasie wojny prusko-francuskiej 1870 — 71 r. Bebel wstrzymał się od głosowania wraz z Liebknechtem przy uchwalaniu przez parlament pożyczki wojennej i protestował przeciw aneksji Alzacji i Lotaryngji. W związku z tem w r. 1872 skazany został na dwa lata więzienia za zdradę stanu. Odtąd imię Bebla było związane ze wszystkiemi najważniejszemi momentami rozpraw parlamentarnych, w których występował jako wymowny rzecznik klasy robotniczej. Pierwsze lat 20 jego

działalności parlamentarnej przeszły w namiętnych utarczkach z Bismarkiem.

Bismark zjednoczył burżuazję niemiecką, a Bebel zjednoczył proletarjat niemiecki. Bismark pod koniec życia—upadł. On, olbrzym, otrzymał zwykłą — dymisję. Bebel zaś do ostatniej chwili życia pozostał na stanowisku wodza klasy robotniczej, wielbiony przez te masy i szanowany nawet przez najzagorzalszych przeciwników.

Będąc jednym z wodzów drugiej Międzynarodówki w jej najlepszym okresie, Bebel zwalczał opurtunizm w międzynarodowym ruchu socjalistycznym. Zwalczał również rewizjonizm Edwarda Bernsteina, który wystąpił z rewizją teorji Marxa (stąd nazwa tego kierunku). Ale stawiając jedność partji ponad wszystko, zmuszony był Bebel do kompromisów skrajnej lewicy stronnictwa z prawicą. Na krótko przed śmiercią zajął wraz z Kautskim stanowisko „centrowe“ odgradzając się od lewo-radykalnego skrzydła.

Bebel był również wybitnim pisarzem socjalistycznym. W r. 1874 wydał słynną swoją książkę, napisaną w więzieniu, p. t. „Kobieta i Socjalizm“, która doczekała się 60-ciu wydań, Inne jego prace: „Nasze cele“, „Wojna chłopska“, „Karol Fourier“, „Akademicy i Socjalizm“, „Antysemityzm i proletarjat“, „Ruch zawodowy a partje polityczne“. Prócz tego był czynnym współpracownikiem wielu pism socjalistycznych i teoretycznych. Przez całe życie gorący bojownik o wyzwolenie klasy pracującej, wróg ciemnoty, klerykalizmu, wzorowy pisarz społeczny, uosobienie jednolitości społecznika i rewolucjonisty.

Bebel zmarł dnia 13 sierpnia 1913 r. Wiadomość o jego zgonie wywarła wrażenie powszechne, albowiem sędziwy patjarcha socjalizmu, który wraz z Wilhemem Liebknechtem, stworzył na gruzach związków Lassalle'a najpotężniejsze stronnictwo robotnicze w świecie, był jednym z najbardziej szanowanych w Niemczech.

Zwłoki Bebla, stosownie do jego ostatniej woli spalono w krematorjum Zurychskim, a prochy pochowano na tamtejszym cmentarzu centralnym.

W 20 lat po śmierci Bebla, stwierdzić musimy ze smutkiem, że dzieło jego leży w gruzach. Nowa niemiecka potęga faszystowska usiłuje przez krew i mord zgnębić ruch robotniczy usiłuje zniszczyć dzieło Marxa, Liebknechta, Bebla. Ale Karol Marx i takie rzeczy przewidział. Otóż, w przepięknej ocenje Komuny Paryskiej Marx mówi wyraźnie, że robotnicy, zanim zdobędą ostateczne wyzwolenie swoje, będą musieli przejść przez okres długich walk i poprzez cały szereg etapów historycznych, które zmienią warunki i ludzi“.

Słowem, życie społeczne, jak wszystko w przyrodzie, podlega ciągłym zmianom. Tak więc społeczeństwo przeżywa różne stopnie, różne formy swego rozwoju, lub swego upadku.

W. Poniecki

Spinoza i ideał człowieka

Od chwili swego przyjścia na świat człowiek wrasta w otaczającą go przyrodę i jednocześnie wrasta w otaczające go społeczeństwo ludzkie. Podobnie jak staje się cząstką przyrody (jego życie polega, jak mówi biologja, na przemianie materji), tak też staje się cząstką społeczeństwa, które jest organizacją wymiany dóbr i usług, ponieważ w tej organizacji pozostaje spożywcą i wytwórcą. Jako cząstka społeczeństwa dająca i odbierająca, każdy człowiek zawsze znajduje się w jakimś kręgu stosunków międzyludzkich, w którym ma prawa i obowiązki, wykonywa jakąś władzę lub jej podlega, zajmuje jakieś stanowisko i współzawodniczy, wypełnia zadania i toczy walki. Musi wykonywać swą rolę ku zadowoleniu swojemu i tych ludzi, z którymi go coś wiąże, by wieść pomyślnie swój żywot. Niedość tego, gdyż społeczeństwo nie jest maszyną, złożoną z kółek. Człowiek dąży nietylko do powodzenia w swym kręgu, bo wznosi się i sięga po nie w wyższym, szerszym kręgu w tej hierarchji, w której niższy krąg jest organizacyjnie podporządkowany wyższemu. Dla każdego stanowiska w społeczności, nawet dla każdego położenia życiowego istnieją normy ustaw, przepisów, uprawnień, zobowiązań, obyczajów i t. d. a wszystkie zawierają ogólne schematyczne nakazy i zakazy. Żadna wszakże nie zawiera tego co dyktuje człowiekowi jedynie jego inicjatywa, jego przedsiębiorczość, jego własna, indywidualna wola. Ona stawia mu cele i dobiera do nich środki dla wypełniania wszelkich danych ram treścią realną. Dzięki swojej woli człowiek toruje sobie drogę swego życia osobistego i może robić karjerę.

Znaczna większość ludzi, szary tłum, posiada wolę tylko w małym stopniu, natomiast kieruje się popędami i instynktami i podlega sugestji rzeczy i ludzi. Taki mały człowiek tkwi w małym kręgu dążności i zainteresowań, jest filistrem z ciasnemi widnokręgami, nieświadomy tego, jak jego koło wiąże się z dalszym ciągiem, którego część stanowi, nie posiada ambicji wywyższenia się. Ale człowiek inteligentniejszy, zdolniejszy, dzielniejszy, jakiekolwiek zajmowałby stanowisko, czy będzie to drwal, czy kierownik państwa, wykracza poza swoje rzeczywiste obręby, by lepiej swój byt cząstkowy rozumieć i lepiej swe dążności kształtować. Wtedy następuje uwydatnianie się jego potrzeb, urabianie się uzdolnień i przystosowanie się do coraz wyższych zadań i do coraz trudniejszej roli w życiu. Już sam rozwój i dojrzewanie organizmu przysposabia go do tego. Ale o ile chodzi o świadomość, wchodzą w grę rozmaite czynniki, które są pomocami. Otóż człowiek odbiera wychowanie i wykształcenie przez cały ciąg swego życia, karmi swój umysł treścią książek, gazet, rozmów, dowiadujemy się z obserwacji o wszelkiego rodzaju warunkach i możliwościach postępowania i zapoznaje się z naci-

skiem rozmaitych mocy na współżycie ludzi. Rozróżnić tu można dwa rodzaje czynników: dające wiedzę i wywierające przymus. Wiedza to słowa, abstrakcje, pojęcia, formuły, wszystko to martwe samo przez się, to środki, które trzeba dopiero stosować, dobierać, kombinować, a tem, co to czyni, jest pozaracjonalna istota człowieka, jego uczuciowość, jego ideały, jego pęd życiowy, jego dążność, jego wola. A to, co wywiera przymus, jak wychowanie, które wskazuje normy, ustawy, które dają przepisy, obowiązki, które stawiają wymagania, to wszystko pozostawia możność wyboru i poddania się lub niepoddania i nawet w najciaśniejszych granicach żądań, wymagań, obowiązków, nakazów i zakazów człowiek ujawnia taki czy inny charakter, taką czy inną indywidualność, taką czy inną osobowość, taki czy inny temperament. W każdem położeniu życiowem istnieje możliwość rozmaitego nastawienia się i tego nie wyznacza żaden z owych czynników.

W przypadkach, kiedy zachowanie się człowieka nie podlega przyzwyczajeniu i rutynie, gdy on ma samodzielnie chcieć i wybrać, gdy ma być sobą, bo musi się zdecydować na rozdrożu, jakże często czuje się opuszczony i osamotniony, bezwładny i bezradny pomimo obecności tamtych czynników. Wtedy wchodzi w grę trzeciego rodzaju czynnik jako pomoc i właśnie na niego mamy teraz zwrócić uwagę. Jest to człowiek, którego się naśladuje. Tym czynnikiem zajmowali się najwięksi pedagogowie świata, może w stopniu jeszcze nie dość wystarczającym. Daje się zauważyć, że już kilkoletnie dziecko ze świadomej chęci naśladuje w czemś osobę, która mu imponuje. Bez słów kocha ją, podziwia, przejmuje się nią w jakimś względzie, obiera ją sobie skrycie za mistrza i przewodnika, choćby ta osoba nie zajmowała się niem wcale, choćby mu była znana tylko z powieści lub z książki historycznej. Ten człowiek jest dla niego wzorem, ideałem, więc jak najbaczniej mu się przygląda, by go naśladować. Tak czyni dziecko i tak też czyni człowiek dorosły, zwłaszcza gdy ma się przystosować i przygotować do pełnienia jakiejś roli w nadzwyczajnych okolicznościach lub w zmienionych warunkach życiowych. Może przy tem chodzić tylko o jakieś maniery gestów czy pozy, o sposób ubierania się czy wysławiania, ale może też chodzić o sposób zachowywania się lub traktowania ludzi, o formy wysiłków, nawet o metody czy kierunki pracy albo o treść dążności. Najczęściej się zdarza, że obrany wzór człowieka niedługo przyświeca, a to dla wielu rozmaitych powodów; okazuje się wadliwym lub jednostronnym, lub niewystarczającym, lub łatwym, lub przecenionym, więc krytykuje się go i porzuca. Krytyka jest tem łatwiejsza, im się jest dojrzalszym, a im trudniejsze jest zdanie, im bardziej złożona jest potrzeba wzoru, tem trudniej go znaleźć.

Spinoza mówi w swych pismach o idei człowieka jako wzorze natury ludzkiej. Otóż w „Etyce", rozważając względność dobra i zła w zależności od podmiotu, powiada:

„Albowiem pragnąc urobić ideę człowieka jako wzór natury ludzkiej, na który mielibyśmy się zapatrywać, przyda się nam utrzymać te wyrazy (t. j. dobro i zło) w powyższem znaczeniu. A więc będę rozumiał w następstwie przez dobro to, o czem wiemy z pewnością, że jest środkiem do coraz większego zbliżania się do wzoru natury ludzkiej, który stawiamy przed sobą. Przez zło zaś będę rozumiał to, o czem wiemy z pewnością, że przeszkadza nam w upodobnieniu się do tego wzoru. Następnie będziemy nazywali więcej lub mniej doskonałymi ludzi, o ile więcej albo mniej przybliżają się do owego wzoru". (Et. IV, Przedm., przekł. Myślickiego, str. 173). A w „Traktacie o poprawie rozumu" czytamy:

„Wszystko, co zachodzi, dzieje się według wiecznego porządku i pewnych praw Natury. Wobec tego jednak, że ograniczoność ludzka nie potrafi ogarnąć myślą owego porządku i człowiek wytwarza sobie tymczasem pojęcie jakiejś natury ludzkiej o wiele możniejszej od swej własnej a przytem nie znajduje przeszkód do osiągnięcia jej, więc podnieca to go do poszukiwania środków, prowadzących do takiej doskonałości. Wszystko przeto, co może służyć za środek ku temu celowi, zowie się dobrem prawdziwem; dobrem najwyższem zaś jest dopięcie tego, aby napawać się ową naturą, jeśli się to stać może, wspólnie z innymi ludźmi. Czem jest ta natura, wykażę we właściwem miejscu, mianowicie że jest nią wiedza o jedności, łączącej umysł z całą Naturą. Oto jest cel, do którego zmierzam: pozyskanie takiej właśnie natury oraz staranie się o to, aby wiele ludzi razem ze mną ją posiadło. To znaczy, że do mego własnego szczęścia należy też dbanie o to, aby wiele innych ludzi zrozumiało to, co ja, i aby ich rozumienie i pożądanie pozostawały w zupełnej zgodności z mojem rozumieniem i pożądaniem". Tr. o popr. roz. § 8, przekł. Myślickiego, str. 8).

Z tych zdań już widać, że cała nauka Spinozy, kulminująca w etyce, zmierza do utworzenia idei człowieka jako wzoru natury ludzkiej. A więc jaką przybrać postawę, aby być doskonałym i szczęśliwym, — oto najgłębsze pytanie Spinozy. Odpowiedź na to daje system filozofji. Kto stawia sobie takie pytanie, znajdzie tutaj odpowiedź. Ale powiedzieliśmy już, że nie wystarczą wiedza abstrakcyjna, nie wystarczą słowa, potrzeba przykładu faktycznego, potrzeba człowieka. A czyż nie mamy go? Jest nim osobistość „szczęśliwego Spinozy", jak go określił pierwszy biograf Lucas.

Może komuś imponować Descartes czy Newton, Leibniz

czy Kant. Wielkich filozofów szanuje się, poważa, ale nie uwielbia się ich, nie kocha. Można ich naśladować w metodach ich myślenia naukowego, ale to życia nie wypełnia. Najwięksi filozofowie najczęściej nie byli osobistościami o tak wzniosłym i szlachetnym charakterze, aby nadawali się na wzór. Nie był takim ani Bacon, ani Bruno, ani Schopenhauer, a nikt nie zechce, bo jest to niemożliwe, naśladować sposobu prowadzenia życia Campanelli czy Descartes'a. Wielki entuzjazm ku sobie budził u współczesnych i późniejszych ludzi i dziś jeszcze budzi Sokrates. Kto posiadał jeszcze większy czar mądrości życiowej? Może Franciszek z Assyżu albo autor pisma „O naśladowaniu Chrystusa" (według najnowszych badań: Gerson)? O nie, potrzeba nam w społeczeństwie nowoczesnem zupełnie innego typu człowieka, potrzeba takiego, który jest wolny od przesądów i potrafi „dobrze czynić i radować się", jak powiedział Spinoza (Et. IV, 50, Przyp.), który tę umiejętność radosnej twórczości posiadał. Właśnie uczył jej dla tego, że ją posiadał, i posiadał ją dlatego, że chciał się jej nauczyć. Określamy tę jego postawę jako unowocześnioną mądrość sokratesowsko-stoicką. Jest to tylko określenie, a treścią jest sama osobistość Spinozy, którą poznajemy zarówno z jego pism, coraz lepiej dzięki badaniom rozumianych, jak i z życiorysu, coraz wierniej dzięki odkryciom kształtowanego. Jakież to zainteresowanie budziła i wciąż budzi ta osobistość! Jeszcze za życia garnęli się do niego ludzie wielcy i niewielcy, nawet gawiedź, pragnąca mu się przyglądać z czcią. Obserwowano go i komunikowano sobie takie szczegóły, jak jego uśmiech przy biesiadnym stole, opisywano jego wyraz twarzy, jego postać, poszukiwano, co porabiał i co posiadał. Protestancki pastor Colerus, okropnie zgorszony rzekomą bezbożnością Spinozy, był jednakże autorem jednej z pierwszych biografij jego, pisanej bardzo szczegółowo z głębokiej czci. Mnóstwo życiorysów Spinozy, badawczych i powieściowych, opracowywano, a do największych jego biografów należy pracujący od 30 lat nad Spinozą głęboki jego badacz i wielbiciel jezuita Dunin-Borkowki. Z wielkiemi wysiłkami prowadzono poszukiwania zatraconych pism Spinozy i ogrom energji włożono w poszukiwania, prowadzone z przemyślnością detektywów, aby zdobyć dokumenty i wiadomości, dotyczące Spinozy samego i jego przodków, a nie zlekceważono rachunków, które płacił, lub akt notarjalnych, które podpisał, i takich wiadomości, jak o czem rozmawiał z gospodynią, jak mieszkał i jakie miał umeblowanie. Chyba żadnym człowiekiem na świecie nie zajmowano się tak aż do najdrobniejszych szczegółów. To zainteresowanie, wzmagające się w ostatnich czasach, spowodowało powstanie zrzeszenia międzynarodowego „Societas Spinoza", którego inicjator dr. Gebhardt już zdobył sobie ogromne zasługi pozatem krytycznem wydaniem dzieł

Spinozy, wieloma badaniami i przekładami, odnalezieniem grobu Spinozy, utworzeniem „Domus Spinozana“ i t. d. Umiłowanie Spinozy, który zachwycał wielkich poetów i zapładniał największych filozofów, wzrasta z czasem niewątpliwie. Można się było o tem przekonać w Hadze w lutym 1927 roku na wspaniałym międzynarodowym obchodzie 250-lecia zgonu i znowu we wrześniu 1932 roku na takimże obchodzie 300-lecia urodzin Spinozy*).

Spinoza nie jest, jak się okazuje, tylko jednym z największych filozofów, tak zasłużonym, że trzeba każdemu o nim coś wiedzieć, tak ważnym może, że trzeba znać jego myśli, może nawet tak aktualnym, że należy jego pisma studjować. Jego usposobienie, które przejawiło się zgodnie i jednakowo zarówno w jego postępowaniu, jak i w jego dziełach oraz listach, błyszczy na firmamencie błąkającej się ludzkości. Dlaczego ta postać tak czaruje, tak pociąga ku sobie i, im więcej się ją poznaje, tem bardziej świeci przykładem jako wzór natury ludzkiej, doskonale mądrej? Zdaje się, że polega to na tem, iż skrajności natury ludzkiej, które się stykają, jak się mawia, a występują w jednostce naprzemian po sobie okresowo czy bezładnie, mniej lub więcej kontrastowo i bez równowagi, a są rozproszone po osobnikach jako jednostronności usposobień, utrudniające współżycie, są w charakterze Spinozy zrównoważone, z harmonizowane i zespolone na przedziwną jedność, całość, pełnię człowieka, pozwalającą mu w postępowaniu zachowywać to, co jest najważniejsze dla powodzenia, mianowicie takt. Jest bowiem w Spinozie potężna siła męskiej aktywności, wyniosłej stanowczości, wszechstronnej twórczości, bo też jest on przedstawicielem dzielności okresu Odrodzenia nie mniej od Machiavella i Hobbesa, ale bez ich brutalności. Zarazem jest w nim głęboka kobieca uległość względem ogarniającej człowieka i społeczeństwo wszechmocnej natury, uległość autora dzieła „O naśladowaniu Chrystusa“, tylko bez jego ascetycznej prostracji. Jest w Spinozie męski wielki rozum z logicznością, matematyzmem, naukowością, jest samowiedza i opanowanie siebie oraz warunków bytu ludzkiego i jednocześnie jest w nim kobieca głęboka uczuciowość, przejawiająca się w bezgranicznej dobroci, szlachetnej wyrozumiałości, cierpliwej lojalności i tęsknocie do ładu, porządku, harmonji, pokoju w stosunkach ludzkich. To też biegunami jego etyki są przeciwstawne pojęcia popędu samozachowawczego, tego źródła mocy i zarazem praw, oraz konieczności, tkwiącej w bóstwie, czyli naturze, której musimy się poddać. A szczytowem pojęciem, wyrażającem nastrój, którego uczy Spinoza, jest „umiłowanie umysłowe bóstwa“, w czem mamy zespolenie kobiecej miłości z męskim umysłem. Nagromadziło się w Spinozie wielkie cierpienie

---

*) Ob. sprawozdanie z tego drugiego obchodu w Nr. 22 z d. 1 listopada 1932 r. naszego czasopisma.

przodków i własnych smutnych doznań i to cierpienie potrafił on rozpuścić w nastroiu największej radości, którą daje uświadomione czynne nastawienie, zmierzające do dobra powszechnego. Jest w Spinozie wielka pewność siebie, pewność swej filozofji, swej prawdy, swych dowodów, swego rozumu, swej wieczności i zarazem wielka skromność, towarzyskość, wyrozumiałość, skłonność do przystosowania się, tolerancyjność, demokratyzm i lojalność względem władzy państwowej. Jest w nim silna indywidualność z godnością osobistą, roszczeniem praw popędu samozachowawczego, pożądaniem osobistego szczęścia i jednocześnie republikańskie poczucie obywatelskie, rozumienie wartości społecznych i uznawanie silnej władzy państwa. Jest w nim arystokratyczna wyniosłość, świadomość potęgi swej inteligencji, górowanie nad wielkimi i największymi z jego otoczenia i nad tymi wszystkimi, których poznawał z książek, i jednocześnie jest w nim niechęć do krytykowania, do mówienia o kimś nieprzychylnie, bezambitna rzeczowość aż do usuwania się do anonimowości. Był olbrzymim erudytą, czerpał wiedzę, skąd się dawało, analizował ją i wybierał złoto z piasku, a przecież wykazał jaknajwiększą oryginalność i samodzielność rozwiązań i pomysłów syntetycznych, dając tem nietylko wzór pracy naukowej, lecz i przykład wszelkiego rzetelnego myślenia. Potrafił przy najwięszym radykalizmie swoich poglądów opanować i powściągać siebie, o ile chodziło o wprowadzenie tych poglądów. Ten człowiek miał wiele do powiedzenia światu, a mówił jak najmniej, dając wzór zwięzłości i ścisłości. Czy należy go poczytywać za umysł typu klasycznego, czy romantycznego? Chyba łączył on w sobie te obydwa typy.

Można i trzeba snuć takie rozważania dla poznania tego d o s k o n a ł e g o c z ł o w i e k a. Tak zdumiewająco doskonałym on się ukazuje, im więcej się go poznaje, że nasuwa się badaczom wątpliwość, czy aby nie okrasza się jego żywota legendami. Więc ze złośliwą lubością wyszukuje się w nim samym wybuchy wzruszeń, czyny świadczące o brzydkich rysach charakteru, mylność jego wywodów, niezgodność lub nieprawdziwość w jego poglądach. W ten sposób można osiągnąć najwyżej to, że się pokaże, iż on nie był w rzeczywistości takim, jakim się wydaje, jednak nie obali się tego, jakim on być chciał, czy choćby tylko, jakim wydawać się chciał. Być może, że Spinoza nie dorastał swym charakterem czy swojemi postępkami faktycznie do tego ideału, który sobie oraz wszystkim ludziom budował. Ale czy zdoła ktoś wskazać, kto stoi wyżej od niego? kto jest lepszym? szlachetniejszym? mędrszym? Chyba nie znajdzie się i nie da się pomyśleć człowiek szlachetniejszy od tego, który napisał zdanie, niezawodnie najważniejsze dla ludzkości z pośród wszystkich, które kiedykolwiek wygłoszono. To zdanie, zbudowane na podstawach wielkiej teorji, głosi potrzebę pojednawczości, zgodności, solidarności wszechludzkiej. Jest ono w porówna-

niu z nakazem miłości bliźniego, mętnie ogólnikowym i dlatego tak bardzo sponiewieranym i zaniedbywanym, jego skonkretyzowaniem, zmodernizowaniem i wydoskonaleniem. Treść jego jest następująca:

„Ludzie, powiadam, dla zachowania swego bytu nie mogą sobie życzyć nic wyborniejszego nad to, żeby wszyscy we wszystkiem tak dalece się ze sobą zgadzali, aby umysły i ciała wszystkich stanowiły niejako jeden umysł i jedno ciało, aby wszyscy pospołu według możności dążyli do zachowania swego bytu i aby wszyscy łącznie poszukiwali dla siebie wspólnego wszystkim pożytku“. (Et. IV.18, Przyp. przekł. Myślickiego, str. 184).

I. Myślicki

Socjalizm a walka z obskurantyzmem

Pod tym tytułem zamieścił Wincenty Rzymowski artykuł w „*Kurjerze porannym*“ 29.VII, w którym czytamy:

„Zwycięstwo ruchu hitlerowskiego w Niemczech pokrzepiło i wzmogło serce żywiołów reakcyjnych w tych nawet krajach, którym instynkt samozachowawczy lub racja stanu przeciwstawiać się każe ogólnym imperjalistycznym tendencjom Hitlera.

Przykładem — Austrja. Ta mała republika naddunajska, wparta między Włochy faszystowskie a faszystowską Germanję, czuje, że samoistność swą zachować może jedynie w walce z nacierającą falą faszyzmu. I, rzeczywiście, rząd austrjacki pod wodzą kanclerza Dollfussa nie cofa się przed najostrzejszemi środkami, aby odeprzeć i stłumić w swem państwie zapędy hitleryzmu, którego triumf musiałby skończyć się pochłonięciem maleńkiej republiki przez „Trzecią Rzeszę“.

Wszelako, walcząc z przeciwnikiem, rząd austrjacki mimowoli się doń upodabnia. Gwałt odpiera gwałtem, a na podziemne podkopy, spiski i najazdy odpowiada szeregiem ustaw wyjątkowych, składających w ręce władzy administracyjnej olbrzymie pełnomocnictwa.

I, oto, na fali tych pełnomocnictw, mających mobilizować siły do obrony przeciw Hitlerowi, wypłynął dekret, posiadający wszelkie znamiona hitleryzmu: dekret ten rozwiązał jednem pociągnięciem pióra kanclerskiego wieloletnią, żywotną organizację wolnomyślicielstwa — „Freidenkerbund“.

Jakie czynniki i motywy wpłynęły na tę decyzję rządu wiedeńskiego, cofającą metody administracji austrjackiej poza kolebkę Franciszka Józefa? Czy przeświadczenie, że obcemu barbarzyństwu można czoło stawić jedynie w pancerzu barba-

rzyństwa własnego? Czy może przypuszczenie, że fanatyzm i ubóstwo widnokręgów umysłowych lepszą jest szkołą hartu i odporności, niż myśl bezprzesądna i niezależna? A może odegrał rolę, poprostu, wniosek, że w tych obozach wojennych, jakiemi stały się dziś niektóre państwa, krytycyzm, tolerancja i wolność badawcza stanowią zbytek, na który wogóle brak miejsca?

Jedno zda się nie ulegać wątpliwości. W dekrecie rządu wiedeńskiego, usiłującym zniweczyć dzieło pracy i kultury dwóch conajmniej pokoleń, odbił się łuną ognistą refleks stosów, zapalonych w Berlinie przez Hitlera. Chrześcijański rząd Dollfussa nie oparł się pokusie, aby przy wielkim ogniu inkwizycji niemieckiej nie upiec także swej małej austrjackiej pieczeni klerykalnej.

Tak, przynajmniej, komentuje krok kanclerski organ socjalistów austrjackich „Arbeiter Zeitung", który w represji, wymierzonej przeciw „Związkowi wolnomyślicieli", widzi głęboki cios, zadany kulturze umysłowej ruchu robotniczego: cios tem głębszy i tem bardziej tragiczny, że przeszedł niemal bez echa w szerszych kołach społeczeństwa.

„A przecież — pisze wiedeński dziennik socjalistyczny (nr. 170) w znamiennym artykule „Walka o prawo"... cios, godzący w organizację Myśli Wolnej, powinien — zdawałoby się wywołać oburzenie w całym mieszczańskim świecie liberałów i demokratów. Wszak zasada wolności sumienia, prawo do wytworzenia sobie nowoczesnego, zgodnego z nauką, poglądu na świat, prawo wolnego współzawodnictwa idej postępowych z tradycyjnemi dogmatami kościołów, są to zasady i prawa, należące nietylko do podstaw socjalizmu, ale także do podstawowych zdobyczy liberalizmu mieszczańskiego. Każdy nie hołdujący klerykalizmowi obywatel powinienby sobie powiedzieć, że cios, który spotkał wczoraj Związek Wolnomyślicieli, może jutro ugodzić w każdą inną organizację, która rządowi wyda się niedość klerykalna. Jednakowoż ani jeden z dzienników liberalno-demokratycznych nie uznał za stosowne wystąpić z głosem protestu. Nikt nawet faktu represji nie podkreślił. Ponieważ dekret rządu uderza w myśl niezależną, działającą na gruncie robotniczym, więc dla tak błahej sprawy nikomu nie jest pilno psuć swe dobre stosunki z rządem klerykałów".

Z kolei autor zwraca się z pretensją do warszawskiego „Robotnika" i jego redaktora, że w walce z klerykalizmem nie naśladuje socjalistów austrjackich, bo „sztandar wolnej myśli zwinął od dawna". Autor pisze:

Dla wątpliwych korzyści taktycznych (socjalizm polski) poświęcił swój najbardziej zagrożony front walki w społeczeństwie,

opanowanem przez okupację klerykalizmu. Aby dokuczyć rządowi, schlebia i w pychę wbija biskupów, których zkolei rząd obłaskawiać musi podatkiem kościelnym, wyciskanym z pracy najuboższych parafjan.

Czy trzeba przypominać, że do pisarzy najbardziej w „Robotniku" zwalczanych, należy Tadeusz Boy-Żeleński, autor „Naszych okupantów" oraz „Dziewic konsystorkich"? że główny ciężar ataków przeciwko „Lidze reformy obyczajów", nim ona jeszcze powstała i rozwinęła swą działalność, podzielili między sobą ksiądz Niedziałkowski i towarzysz Choromański?

Znamy doskonale szczytne preteksty, pod któremi redaktor „Robotnika" zasnął w błogim cieniu klerykalizmu. Uznaje on, że wszystkie siły lewicy polskiej należy skupić w dobie obecnej na froncie walki z obozem rządowym. Ponadto, na wszelkie próby uzdrowienia stosunków międzyludzkich odpowiada piosenką, że wszystko to załatwi „nowy ustrój"; że wszystko jest daremne bez „nowego ustroju". Naprzód przyjść musi socjalizm, a skoro osiągniemy królestwo boże socjalizmu, zniknie, jak mara nocna i klerykalizm, i fanatyzm, i ciasnota umysłowa i barbarzyństwo obyczajów, i czerń przesądów. Zniknie, oczywiście, wtenczas i potrzeba walki z tym korowodem wstecznictwa. Ponieważ więc dzisiaj walka ta byłaby bezskuteczna, a potem będzie zbędna, czyż nie lepiej ręce założyć bezczynnie i czekać, aż determinizm dziejowy przeniesie nas na drugą stronę barykady i wprowadzi w posiadanie wszystkich dobrodziejstw „nowego ustroju"?...

Tego miłego rozumowania naszych socjalistów nie podzielają, jak widzimy, ich wiedeńscy, dojrzalsi towarzysze. Dla nich ruch wolnomyślicielski, zdążający do wyzwolenia obywateli z dogmatyki wyznaniowej i z pęt klerykalizmu, nie jest czynnikiem obojętnym. W dążeniu do przebudowy i racjonalizacji społeczeństwa jest, owszem, pożądanym i cennym sprzymierzeńcem.

Nie podzielają też oni wiary w to, że im więcej w społeczeństwie gromadzi się nędzy, cierpienia i krzywdy, tem wspanialsze będzie żniwo rewolucji.

W toku rewolucji, w okresie wielkich wstrząsów, można, niewątpliwie, w drodze zarządzeń zgóry dokonać przebudowy stosunków, wywołującej reformę obyczajów, oddzielenie państwa od kościoła, realizującej za jednym zamachem postulaty myśli i kultury świeckiej. Za przykład może tu posłużyć Rosja, gdzie narzucony zgóry kodeks prawa małżeńskiego dokonał gruntownej przebudowy stosunków w tej dziedzinie. Przebudowy tak gruntownej i celowej, że dodatniemi jej wynikami zachwycać się zaczyna nawet już i „Gazeta Warszawska", wierna „strażniczka" cnót i zalet życia rodzinnego.

Ale czy znaczy to, że dekretami można zrobić wszystko? Właśnie ta sama Rosja sowiecka jak najkategoryczniej temu przeczy całym obszarem zadań, z jakiemi zmaga się obecnie. Co stuleciami narastało w człowieku i w stosunkach międzyludzkich, tego nie odmieni, nie przetworzy w ciągu doby, ani w ciągu lat kilku ogień rewolucji, choćby tak huraganowy, jak rosyjski.

„Eksperyment rosyjski, skoro stawi nam przed oczy jakąś prawdę, wytopioną z ognia, to nadewszystko tę, że u czoła dyktatorów i zwycięzców rewolucji nie zapłonie gwiazda myśli wolnej, jeśli przedtem nie paliła się w piersiach miljonów tęsknota za jej światłem".

Stanowisko zupełnie słuszne. Trudno myśleć o żniwie, jeżeli nie uprawi się w odpowiednim czasie roli i nie wrzuci w nią zdolnego do rozwoju ziarna nowych idej. Nawet ewangelja zna przypowieść o pannach, które powinny być przygotowane na przyjście oblubieńca. Będą to panny „mądre". Te, zaś, które się na to przyjście nie przygotują, ewangelja nazywa pannami „głupiemi". Tak, jak dziś rzeczy stoją, jedynie tylko młodzież Turowa ma ambicję zasłużenia sobie na miano panien mądrych*).

H. Wr.

Warchoły konkordatowe

P. Wojciech Stpiczyński, jeden z najzdolniejszych publicystów prorządowych, zamieścił w redagowanym przez siebie „*Kurjerze porannym*" z dn. 21 maja r. b. artykuł p. t. „Do czego to prowadzi?", poświęcony wrogiemu stosunkowi kleru do państwa. Jak czytelnicy nasi wiedzą, stosunek ten nigdy życzliwy nie był i nigdy życzliwym nie będzie, dopóki wszystko w Polsce nie będzie podległe kruchcie, czyli „boże i chrześcijańskie". A ponieważ to się już nigdy w 100 proc. nie stanie, tedy i ów stosunek kleru do Polski nigdy lepszym nie będzie. I dobrze.

P. Stpiczyński pisze:

Zastraszający jest poprostu stały wzrost fali skarg, spływających na biurko redakcyjne z różnych stron kraju, — skarg na nieetyczne, nieobywatelskie, czasami w najwyższym stopniu drastyczne, zachowanie się księży, — na ich zaciekłość polityczną, stronniczość rażąco skrajną, formy wystąpień brutalne i prowokujące, nasilenie pasji i namiętności stających w konflikcie z duchem społecznego kontraktu, z poczuciem praworządności. Zastraszający jest stały wzrost goryczy w tych skargach, coraz silniejsze naleganie, by były publikowane, bo może w ten przynajmniej sposób powściągnięta zostanie pasja bezkarnego obrażania przez księdza

---

*) Na artykuł Rzymowskiego odpowiedział „Robotnik" w d. 30.7 w art. p. t. „Pokuta", w którym uspakaja, że „Lidze Reformy Obyczajów" krzywdy nie zrobi.

— często z ambony — najszlachetniejszych uczuć obywatela, wiary jego serca, ideałów jego życia...

Leży przed nami dokument, który mógłby się wydawać wytworem złośliwej wyobraźni, gdyby nie był rzeczywistością. Jest nim rozkaz Dowództwa Okręgu Korpusu Nr. III z dnia 11 maja. Czytamy: „Żołnierze, Strzelcy i Junacy! Podczas święta narodowego w dniu 3.V. b. r. ksiądz-dziekan Zamejć Jerzy w Knyszynie pow. Białostocki nazwał w czasie kazania „zbrodniarzem" miejscowego instruktora p. w., a „wewnętrznymi wrogami Ojczyzny" obecnych w kościele członków Związku Strzeleckiego. Instruktor p. w. plutonowy zawodowy 42 p. p. ś. p. Dunajski Tadeusz, dotknięty niesłuszną obelgą rzuconą na Niego i na mundur, który nosi, po zameldowaniu o tym fakcie swemu przełożonemu, odebrał sobie życie"..

Tak jest. Śledztwo ustaliło, a list pozostawiony przez plutonowego Dunajskiego potwierdził, że młody, dzielny żołnierz został moralnie uśmiercony przez słowo, rzucone z ambony. Chłopca, którego jedynym skarbem był honor, odarto w kościele z honoru.

Potóż wznosimy tu, na ziemiach naszych, świątynie Chrystusowe, by w nich nikczemnem i bezkarnem słowem ksiądz uśmiercał naszych dzielnych żołnierzy?

Inny ksiądz — pisał o tym wypadku przed paru dniami jeden z naszych czytelników — w przemówieniu przez radjo przyrównywał bohaterski przelot kpt. Skarżyńskiego przez ocean do błazenady konkursowiczów cyrkowych.

Czy poto otaczamy szacunkiem suknię duchowną, by cały jej autorytet moralny był używany do łamania dusz rycerskich i dzielnych, do spychania ich w błoto pogardy?

Ks. katecheta Buchała w Andrychowie użył ambony do wypowiedzenia filipiki przeciwko modzie nadawania dzieciom „pogańskich imion w rodzaju Wandy lub Jagódki.

Z jakich źródeł ciemnoty i zuchwalstwa płynie czelność ważenia się na podobnie gruboskórne aluzje, nie oszczędzające nawet dzieci, dlatego, że ponuremu kaznodziei nie podoba się ich ojciec (mowa o marszałku Piłsudskim i jego córkach p. nasz). A cóż nas obchodzi, co mu się podoba? Czy poto wybudowano mu kościół, by się z nami dzielił swojemi gustami, czy też, by odprawiał w nim służbę Bożą i wykładał naukę Chrystusa *).

Gdzieindziej, w Iwałdzie, ks. wikary Sobczak, również w kościele, rozwodził się szeroko, „że „dowodem przeciwkościelnego nastawienia rządu" jest powołanie na doradcę duchownego „zwykłego księdza"... niejakiego" Żongołłowicza.

W ten sposób ksiądz wpaja w swoich parafjan szacunek dla władzy państwowej. Czego zwykłemu agitatorowi nie wolno już bezkarnie czynić na wiecach, agitator w sutannie czyni to spokojnie w kościele, zasłaniając swoją niedopuszczalną z obywatelskiego punktu widzenia akcję, świętością miejsca i znieważając tę świętość zarazem.

Gdy później ten lub ów biskup ubolewać będzie nad brakiem etyki i moralności u wiernych, nietrudno byłoby mu wskazać to źródło...

I tak wreszcie kończy:

Byłoby tylko dowodem lekkomyślności, gdyby się nie dosrzegało, że fakt przechodzenia kleru pod sztandar wszelakich nienawiści, na barykady walk narodowościowych i politycznych, stwarza nową sytuacje, wobec której państwo nie może pozostać obojętne. Państwo dzisiejsze nie może, bez narażania się na chaos, zrezygnować z obowiązku przestrzegania, by elementy składowe całości społecznej trzymały się ściśle w granicach swego przeznaczenia. Ktokolwiekby je przekraczał, musi być przywołany do porządku.

Każdy rozumny człowiek musi się zgodzić, że zasada ta obejmuje także i kler".

---

*) Najlepiej nie wznosić kościołów — i nie płacić pensji. Red.

Nie od dziś nawołujemy, że czas już wielki przywołać tę okupującą i objadającą nas bandę papieską do porządku. Ich pasorzytniczy stosunek do państwa doprowadziłby już gdzieindziej dawno do rozdziału kościoła od państwa. Ale w Polsce ludzie w rodzaju p. Stpiczyńskiego za mało jeszcze tego chcą. Dlatego te oburzenia doraźne nie doprowadzą u nas do tego, do czego powinnyby doprowadzić,

W obronie konkordatowych warchołów stanął jeden z nich, a mianowicie ks. Z. Choromański w „*Kurjerze warszawskim*“ z 26.V., który w artykule „Kto ma być przywołany do porządku?“ odmawia red. Stpiczyńskiemu prawa przemawia w imieniu państwa, jako domeny papieskiej na mocy konkordatu i „moralności“.

P. Stpiczyński wzywa państwo, ażeby przywołało kler do porządku! — p. Stp. jako „obrońca“ etyki obywatelskiej woła na alarm! — p. Stp. staje się „pionierem“ poczucia praworządności!

Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej paradoksalnego, niż te zestawienia?

Ale zdajemy sobie sprawę o co tu chodzi — dla p. Stp. i jego przyjaciół duchowieństwo katolickie od 1926 roku jest „w konflikcie z poczuciem praworządności“ w Polsce...

Skoro zaś już o przywoływaniu do porządku mowa, niech uczciwa opinja publiczna wyda wyrok, kto ma być do porządku przywołany.

Gdyby taki Choromański odezwał się w ten sposób we Włoszech lub w Hitlerji do jednego z ludzi bieżącego kursu politycznego — byłby dziś albo w więzieniu, albo w szpitalu. W Polsce za ten tupet wybudują mu jeszcze z parę kościołów, w których będzie mógł nadal warcholić bezkarnie i śmiać się w nos każdemu, kto będzie go straszył „nową sytuacją“ w Polsce. Każdy nowy kościół — to nowy teren eksterytorjalny dla Watykanu — i nowy obszar bezkarnego warcholenia dla okupujących Polskę magików, darmozjadów i ogłupiaczy. Tylko całkowite wytępienie tej mafji może przynieść Polsce spokój i wejść na drogę niefałszowanej oświaty i postępu.

W. Rulikowski

Jan Czerski

zapomniany reformator religijny

W dniu 18 sierpnia 1844 r. kościele katedralnym w Trewirze na widok publiczny została wystawiona świeżo sfabrykowana przez kler „relikwja“, a mianowicie suknia, którą rzekomo nosił Chrystus w ostatnich dniach swego życia i w której został skazany na śmierć przez ukrzyżowanie.

Niemcy-katolicy przyjęli to nowe oszustwo kleru za dobrą monetę, gorliwie odwiedzali katedrę w Trewirze, pieniądze

zaczęły płynąć do rąk pomysłowego kleru katolickiego i wszystko było „w porządku*)".

W owym czasie w miejscowości Piła, rejencji Bydgoskiej, wikarjuszem przy kościele parafjalnym był rzymsko-katolicki ksiądz Jan Czerski.

W Nr. 164 pisma „Sächsiche Vaterlandsblätter" z dn. 1 października 1844 r. ksiądz Czerski przeczytał artykuł p. t. „Sąd kapłana katolickiego Jana Ronge o świętej sukni w Trewirze".

Ronge w artykule tym występował przeciwko oddawaniu czci relikwjom, kwestjonował prymat papieża, oraz krytykował wiele obrzędów kościoła rzymsko-katolickiego.

Krytycyzm oddawna nurtujący umysł ks. Czerskiego, oraz bodziec w postaci bojowego artykułu ks. Rongego spowodowały, że ksiądz Jan Czerski postanowił opuścić kościół rzymsko-katolicki.

W dniu 27 października 1844 r. do wydziału spraw wewnętrznych rejencji w Bydgoszczy ks. Czerski wniósł podanie, oznajmiając o założeniu przez siebie „Gminy chrześcijańsko-apostolsko-katolickiej" i prosząc o jej zalegalizowanie.

Wyznanie, wiary stworzonej przez Czerskiego sekty, zawierało następujące punkty:

1) Odrzucenie zwierzchnictwa papieża. jako sprzecznego z nauką Chrystusa,

2) Skasowanie spowiedzi usznej (die Ohrenbeichte) i odpuszczania grzechów przez kapłana, jako zwyczaju niezgodnego z nauką Chrystusa,

3) Skasowanie bezżenności duchowieństwa, jako prawa niechrześcijańskiego, niemoralnego i podkopującego obyczajność,

4) Cofnięcie zakazu małżeństw mieszanych,

5) Skasowanie kultu obrazów i relikwij, jako pogańskiego zwyczaju,

6) Wprowadzenie nabożeństwa w języku narodowym,

7) Udzielanie komunji pod dwiema postaciami,

8) Odrzucenie katolickiej nauki o poście.

Poza uzasadnieniem powyższych punktów wierzeniowych, wyznanie wiary nowej sekty zawierało surową krytykę duchowieństwa rzymsko-katolickiego, jako pasorzytniczej kasty.

Bliższych szczegółów, dotyczących liczebności powyższej sekty i czasu jej trwania, narazie zdobyć nie zdołałem.

Jest rzeczą znamienną, że ani ks. Michał Nowodworski w swej Encyklopedji Kościelnej (1874), ani Dr. Stanisław Piekarski w swych „Prawdach i Herezjach" (1930), żadnych wiadomości ani o ks. Janie Czerskim, ani o stworzonej przez niego sekcie nie podają.

Wiadomość o powyższej sekcie zaczerpnęłem z wydanej w r. 1850 w Krakowie polemicznej broszury Feliksa Słotwińskiego p. t. „Uwagi nad sektą Rongego i Czerskiego dwóch byłych kapłanów rzymsko-katolickich".

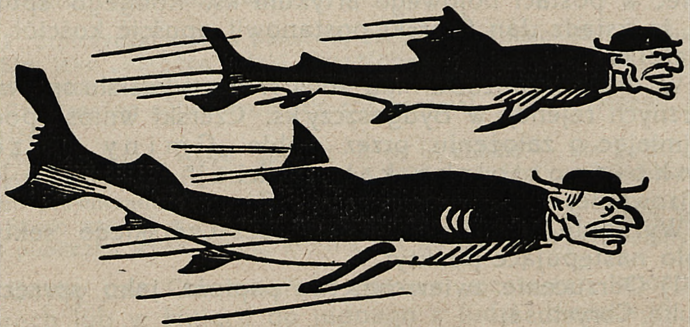
---

*) Jak czytelnicy nasi wiedzą — tę „sukienkę" wystawiono „na widok publiczny" I w r. b. Red.

Biorąc pod uwagę wyjątkowe zacofanie umysłowe polaków w b. zaborze pruskim oraz ówczesną atmosferę, dojść musimy do przekonania, że czyn ks. Czerskiego był aktem kolosalnej odwagi cywilnej.

Ogłoszone przez ks. Czerskiego wyznanie wiary zawierało w ramach chrystjanizmu dużą dozę racjonalizmu. Stwarzało ono fundamenty pod rozwój kościoła narodowego i w wypadku pomyślnego rozwoju nowej sekty przez czas dłuższy mogło się stać ogniwem, stwarzającem dla społeczeństwa polskiego przejście od ortodoksyjnego katolicyzmu do zupełnej bezreligijności.

Antoni Żbikowski



Dwa rekiny — żerłacze.

Kronika

KOMISJE SZKOLNE — BEZ KLERU

W Warszawie odbył się zjazd zarządu powiatów, o którym do prasy dostały się bardzo skąpe wiadomości.

Członkowie zjazdu pracowali w dwóch sekcjach: ogólnej, która obradowała nad sprawozdaniem z działalności związku i wnioskami, przekazanemi przez zebranie plenarne, oraz szkolnej, w której odbyła się dyskusja nad referatem prezesa związku dr. M. Jaroszyńskiego na temat „Organizacji szkolnictwa powszechnego".

W myśl tez referatu zjazd zajął stanowisko, iż sprawy natury gospodarczej w zakresie szkolnictwa powszechnego winny być oddane w całości samorządowi szkolnemu.

Według uchwalonej rezolucji organem stanowiącym i kontrolującym w sprawach szkolnych, należących do zakresu działania samorządu terytorjalnego, powinien być normalnym organ odnośnego związku, a więc rada gminna, miejska, bądź powiatowa. Do decydowania poszczególnych spraw administracji szkolnej w ramach

organów związków samorządowych powinny być powołane komisje oświaty powszechnej.

Do komisyj tych według rezolucji mieliby wchodzić: wójt (burmistrz, prezydent) jako przewodniczący; 1 członek wybrany przez zarząd gminy jako zastępca przewodniczącego; 2—4 członków, wybranych przez radę gminną z pośród lub z poza swego grona; dwuch nauczycieli szkół powszechnych z kandydatów, przedstawionych przez gminną konferencję nauczycielską. Podobny skład miałaby mieć powiatowa komisja oświaty powszechnej. Podczas obrad nad tą sprawą został zgłoszony wniosek, aby do gminnych komisyj oświatowych wchodzili z urzędu przedstawiciele duchowieństwa katolickiego. Za wnioskiem tym padło dwadzieścia kilka głosów, ogromna większość wypowiedziała się przeciw wnioskowi. Rzuca to znamienne światło na stosunek pewnych starostów do kleru katolickiego, albowiem głos decydujący na tym zjeździe mieli starostowie.

W ten sposób kler zostałby usunięty z komisyj, które mają zajmować się nietylko administracją szkolną, ale także mają wypowiadać opinje w miejscowych sprawach szkolnych i decydować w sprawach oświaty pozaszkolnej.

WYZYSK ROBOTNIKÓW PRZY BUDOWIE KOŚCIOŁA

W kwietniu r. b. przystąpiono do wykończenia kościoła w Warszawie przy ul. Łazienkowskiej.

Zatrudniono przytem około 100 robotników, w tem 43 murarzy, którzy wykonywają roboty sztukatorskie, murarskie. Za pracę wszyscy robotnicy otrzymują jednakową stawkę zł. 4.— dziennie, gdyż roboty są jakoby prowadzone z „Funduszu pracy“.

Wobec tak niskiego wynagrodzenia, murarze poczęli się dopominać podwyższenia stawek, lecz wtedy w roli „pogromcy robotników“ wystąpił ksiądz dr. prałat, który oświadczył robotnikom, że nie chce słyszeć o żadnych żądaniach robotniczych i jeśli w ciągu 10 minut nie przystąpią do pracy, to wezwie policję, — która robotnikom na plecach wypisze paragrafy (! !).

Następnie zagroził robotnikom, że jeśli nie będą pracowali, to będą mieli odebrane karty rejestracyjne do wszelkiego rodzaju zapomóg (!)

Oprócz tego wezwał żony murarzy, grożąc, że jeśli ich mężowie będą strajkowali, to policja pozabiera ich w nocy (!) a nawet... groził strzelaniem (!)

Oczywiście, że taki stosunek do robotników księdza prałata doprowadził do tego, że 83 murarzy porzuciło pracę, dopominając się podwyższenia zarobków i poszanowania godności robotniczej.

DRAMAT MIŁOSNY W KLASZTORZE

W rumuńskim klasztorze męskim Rasboeni rozegrał się krwawy dramat na tle miłosnem.

Przeor tego klasztoru, O. Ambroży, utrzymywał t. zw. „niedozwolone“ stosunki z siostrą Franciszką, zakonnicą pobliskiego klasztoru żeńskiego.

Schadzki odbywały się w celi przeora. Pewnego wieczoru przyszło do sprzeczki między kochankami, podczas której przeor dobył nagle rewolweru i strzelił do „siostry“, raniąc ją niebezpiecznie.

Potem przeor kazał jej podpisać zaświadczenie, że sama się zraniła, chcąc popełnić samobójstwo.

Dopiero w szpitalu, dokąd zawieziono ranną, opowiedziała wszystko kapelanowi.

Gdy chciano aresztować zbrodniczego przeora, nie znaleziono go już w klasztorze.

Ratował się ucieczką, zapewne w zaświaty („Złoty wiek“).

IDEA KREMACJI A WATYKAN

Jak wiadomo, Watykan potępił i zwalcza kremację, jako rzekomy wymysł masoński, zaprowadzony w tym celu, aby podrywać w ludzie wiarę w nieśmiertelność duszy i godzić w dogmat zmartwychwstania ciał. Oba te argumenty, niewarte funta kłaków, wysuwa ten udogmatyzowany nieomylnik z uporem manjaka, mimo, że co roku archeologowie odnajdują dziesiątki grobów ciałopalnych po całym świecie, nie wyłączając Polski. Przemilcza natomiast najważniejszy i jedynie istotny powód potępienia kremacji: lęk kleru o utratę dochodów za pokładne, pogrzeby „chrześcijańskie“ i msze żałobne. Potępia palenie zwłok ludzi zmarłych, choć nie wzdragał się spalić na stosie kilkuset tysięcy ludzi żywych, gdy miał potemu władzę. Ponieważ jednak niema reguły bez wyjątku, nie jest od tej zasady wolny i nieomylny potępiacz kremacji. Bo oto, jak czytamy w „*Polsce odrodzonej*“ z d. 15.VIII Nr. 16, kościół papieski uznaje również spalanie ciał. Wyjątek ten zrobiono dla sakramentek, które ciała swoich siostrzyczek składają po śmierci w podziemnej kaplicy, gdzie po odprawieniu nabożeństwa za duszę zmarłej zakonnicy, okładają jej zwłoki niegaszonem wapnem, polewają wodą i w ten sposób spalają je.

Watykan mógł się na to zgodzić, ponieważ zakonnice mają pokładne darmo i za pogrzeb nie płacą. Ale tym, co płacą za pogrzeby, za pokładne i zakupują msze żałobne — nie wolno myśleć o kremacji. Byłoby „niemoralne“.

HITLEROWSKI KOŚCIÓŁ NARODOWY

Pomimo zawarcia konkordatu z Watykanem, Hitler czyni nadal starania o stworzenie niemieckiego kościoła narodo-

wego, przejętego duchem i tendencjami „Nazi“ i zależnego tylko od państwa. Wydana ostatnio przez prof. lipskiego uniwersytetu, Ernesta Bergmana, książka p. t. „Die deutsche Nationalkirche“ (Niemiecki kościół narodowy) rzuca zarys takiego kościoła czysto państwowego, będącego całkowicie na usługach panującego kierunku politycznego. Stuprocentowa współpraca rządu z kościołem winna być, zdaniem prof. Bergmana, zapewniona i pomiędzy temi dwiema instytucjami nie może być nigdy żadnej rozbieżności: mają się one uzupełniać nawzajem dla wspólnego celu, czyli panowania. W związku z tem prof. Bergman proponuje wprowadzenie odpowiednich zmian w konstytucji wejmarskiej i nadanie im następującego brzmienia:

„Art. 135. Niemiecki kościół narodowy jest kościołem państwowym. Głową jego jest prezydent Rzeszy (dawniej był kajzer uw. n.). Duchowni mają prawa i obowiązki urzędników państwowych i mogą być mianowani tylko przez państwo.

„Art. 136. Religja niemiecka jest religją państwową. Prywatne stowarzyszenia religijne oraz ich związki są niedopuszczalne. Niedopuszczalne jest również występowanie obywateli niemieckich z Niemieckiego kościoła państwowego“.

„Wyznanie wiary“ tego niemieckiego kościoła państwowego winno zdaniem prof. Bergmana brzmieć jak następuje:

„Wierzę w boga religji niemieckiej, który działa w przyrodzie, w genjuszach i w sile swego (czyli niemieckiego, uw. n.) narodu. Wierzę we wspomożyciela (Nothelfer) Chrystusa, który walczy o szlachetność duszy ludzkiej. I w Niemcy, tę twórczą kolebkę nowej ludzkości“. Reszta nicejskiego „credo“ została odrzucona. Niema tam już mowy ani o duchu św., ani o zmartwychwstaniu, ani o żywocie wiecznym, ani świętych obcowaniu.

Poza znaną nam już butą i megalomaniacką wiarą w wybraństwo judaistyczne narodu niemieckiego, jako rasy uprzywilejowanej, rasy panów — mamy w tem bergmanowskiem „credo“ dowód kurczenia się religji i schodzenia na ziemię z wyssanych z palca „zaświatów“ oraz dowód jej stopniowego zwyrodnienia i zaniku.

CO BÓG CZYTUJE?

W materjałach redakcyjnych znaleźliśmy katalog firmy Gebethner i Wolff z wierszem Kornela Makuszyńskiego, zachęcającym matki do kupowania dzieciom książek zamiast zabawek. Pierwsza zwrotka tego wiersza brzmi:

„Książko polska, Kopciuszku, co dumasz w popiele;
Księżniczko, coś niedawno chodziła w purpurze!
Nawet Pan Bóg, gdy spocząć zapragnął w niedzielę,
To „Lalkę“ Sobie czytał, usiadłszy na chmurze“.

Powiedziane tu jest „czytał“; ale co czytuje obecnie? niewiadomo. Może „Pannę z mokrą głową“ Kornela Makuszyń-

skiego, reklamowaną w tymże katalogu; a może „Palec boży w katastrofach“ ks. kanonika Ign. Charszewskiego ze Szpetala. Nie wyobrażamy sobie również, aby nie posiłkował się przy wyborze umoralniającej lektury podręcznikiem o. Pirożyńskiego „Co czytać“?

Wg. p. Makuszyńskiego bóg czytuje książki tylko w niedzielę. Czy i co czyta w pozostałe sześć dni tygodnia — p. Makuszyński nam nie wyrymował. A szkoda. Nie wiemy również, na czem bóg siedzi w pogodne bezchmurne niedziele.

Z RUCHU WOLNOMYŚLICIELSKIEGO

W Niemczech. Rozbity przez „Wielkiego inkwizytora“, Hitlera, nazwanego, jak wiemy, „narzędziem boga“ (zob. W. P. Nr. 25 str. 662) olbrzymi ruch wolnomyślicielski niemiecki ożył na emigracji. Naczelny organ tego ruchu „Der Freidenker“, wychodzący stale od r. 1905, ukazał się po czteromiesięcznej przerwie w Saarbrücken (a więc w pasie niedostępnym dla hitlerowskiej łobuzerji) z datą 1 lipca. Adres redakcji: Saarbrücken, Tauentzinstrasse 10.

We wstępnym artykule, zatytułowanym „Jeszcze żyjemy“ redakcja pisze: „Nasze obecne zadanie polega wyłącznie na zwalczaniu i podkopywaniu faszystowskich rządów w Niemczech. Temu ma służyć również i nasz organ... W tej walce, która się toczy nadal o wyjarzmienie niemieckiej klasy robotniczej z faszystowskiej niewoli, nie ustaniemy aż do zwycięstwa...“

W tymże n-rze Max Siewers, członek zarządu gł. niemieckiego związku wolnych myślicieli i członek egzekutywy Międzynar. Unji Wolnychmyślicieli, zamieścił dłuższą odpowiedź na hitlerowskie oszczerstwa o rzekomem sprzeniewierzeniu przez zarząd Związku 700.000 mk. (zob. W. P. Nr. 25 str. 663), których miało braknąć przy rewizji książek i kasy i „poszkodowaniu tą drogą przeszło 800.000 członków Związku“ (słowa hitlerowskiego komunikatu). Na to prezes Siewers powiada, że zarząd żadnych sum nie sprzeniewierzył, to tylko hitlerowcy okradli Związek na sumę 5,4 miljonów mk. przez zajęcie „Freidenkerhaus“ w Berlinie w dniu 17 marca r. b. wraz z całem urządzeniem i z wszystkiemi znajdującemi się w tym domu instytucjami, pod pretekstem, że miał mieścić się w nim skład broni. Autor stwierdza, że to kłamstwo, bo w całym gmachu nie było „nawet jednego naboju“. Rabusie poprostu skłamali. W samej kasie oszczędnościowej członków Związku było ok. 4 milj. mk. Te pieniądze hitlerowcy zasekwestrowali i obrócili na walkę z wolnomyślicielstwem i wyzwoleńczym ruchem robotniczym.

W odezwie do wolnychmyślicieli redakcja wzywa członków do walki z faszyzmem, „tym śmiertelnym wrogiem wszelkiej wolności“ i zapowiada, że „der Freidenker“ będzie się nadal ukazywał co miesiąc. Celem zapewnienia wydawnictwu potrzebnych środków, praski „Der Atheist“, korzystający również

z funduszów Niemieckiego Zw. wolnych myślicieli, przestał chwilowo wychodzić. Prócz „Freidenkera“ wychodzą nadal w języku niemieckim następujące pisma wolnomyślicielskie: „Freier Gedanke“ organ Związku proletarjackich wolnych myślicieli w Czechosłowacji, (Tetschen a E. Brückengasse 1090) i „Der Freidenker“, organ szwajcarskiego związku wolnych myślicieli (Bern, Gutenbergstr 13).

W Austrji. Rząd pobożnego chadeka Dollfussa, chcąc się przypodobać Watykanowi, z którym zawarł konkordat, zawiesił działalność związków wolnomyślicielskich w Austrji. Zrobił to pod naciskiem kleru katolickiego, który popadł był ostatnio w stan nerwowego lęku o swą przyszłość naskutek masowego występowania „wiernych“ z kościoła. Klerowi temu bardzo zależało na szybkiem rozwiązaniu organizacyj wolnychmyślicieli austrjackich, gdyż przygotowały one specjalne obchody antyreligijne w dniach, w których miał się odbywać w Wiedniu kongres katolicki, zwołany w związku z 250-leciem uwolnienia Wiednia od turków.

Ale co to wszystko pomoże. W państwie Myśli Wolnej słońce już oddawna nie zachodzi... Chwilowe lokalne paraliżowanie jej rozwoju przez takie „narzędzia boże“ jak Hitler i jego kreatura austrjacka, nienawiele się przyda panom kapłanom. Głoszone przez tych panów idjotyzmy mają się przecież i tak ku końcowi i tego końca nic już nie odwróci. Ten, kto raz zakosztował wolności myśli, nie nawróci do kruchty i nie będzie korzył się przed kropidłem. Idea Wolnej Myśli żyje przedewszystkiem w organizacjach robotniczych i stamtąd nic jej nie wyruguje. Kler o tem wie i dlatego tak gorliwie zabiega choćby o takie zastrzyki kamfory, jak antywolnościowa faszystowska furja Hitlera i małpowanie tej furji przez austrjackiego „złośliwego karła“ Dollfusa *).

Z prasy

NIE WOLNO MYŚLEĆ INACZEJ, NIŻ NAKAZUJE TAKTYKA

Kto czyta prasę katolicką spotyka się razporaz z wzajemnem wytykaniem sobie przez prawowiernych nieprawomyślnych czyli kacerskich opinij i poglądów. Następują potem odwołania, sprostowania, przepraszania władz wyższych (oczywiście kościelnych) i cofania się do ślimaczych skorup myśli karnej i zorganizowanej przez ojców kościoła, sobory i papieskie orędzia i encykliki. Tak np. było niedawno z jezuitą Urbanem, który pozwolił sobie być innego zdania o projekcie nowej ustawy małżeńskiej, aniżeli sowiet biskupi, który

---

*) Zob. art. p. t. Socjalizm a walka z obskurantyzmem“ na str. 753.

tej ustawie wypowiedział walkę na śmierć i życie, tak było z ks. Cieszyńskim i taki teraz oto mamy wypadek wytknięcia grzechu niesolidarności w poglądzie hierachji na badaczy pisma św. Wytknięcie to wyraziło się w liście biskupa sandomierskiego Jasińskiego do arcybiskupa lwowskiego Twardowskiego z dn. 9.VI Nr. 3147|33, zamieszczonym w nrze 28 „*Gazety kościelnej*“.

A było to tak Ks. prałat Górski, podwładny b-pa sandomierskiego, wydał broszurkę oszczerczą p. t. „Anarchistyczne tendencje Badaczy pisma św.“ w której dowodzi, że badacze owego pisma, to zamaskowani komuniści, którymi powinny się zająć władze prokuratorskie i osadzić ich w więzieniu. Rzecz jasna, że cały kler katolicki w Polsce powinien stać jak jeden mąż na tem samem stanowisku zwłaszcza, że broszurka była poprzedzona słowem wstępnem biskupa sandomierskiego i uzupełniona listem pasterskim b-pa Okoniewskiego. Rozumie się samo przez się, że takiego „tabu“ nie wolno już żadnemu prawomyślnemu księdzu skrytykować ani żadnemu prawowiernemu katolikowi nie przyjąć bezapelacyjnie „prawd“ zawartych w broszurze. Tego wymaga karność doktryny i bezmyślność myśli katolickiej. W przeciwnym razie — odmowa rozgrzeszenia i wieczyste męki piekielne, od których nawet sam wszechmocny bóg nie byłby w stanie ludzi uwolnić, gdy je raz zaaplikuje biskup lub spowiednik. Tymczasem jeden z podwładnych arcybiskupa lwowskiego skrytykował tę broszurę w „Gazecie kościelnej“ (Nr. 21) i powiedział, że badaczy nie można ani identyfikować z komunistami, czy anarchistami, ani też pomawiać ich o to, że są na żołdzie bolszewików i działają na szkodę państwa polskiego, że „wszak tylu komunistów wyszło z kościoła katolickiego, a przecież nikt rozsądnie rzecz wziąwszy nie zarzuci, iż kościół katolicki popiera komunizm“. Krytyk ten zarzucił dalej autorowi broszurki tendencyjne przekręcanie cytat z pism badaczy, aby ich działalność postawić w fałszywem świetle. Podkreślił natomiast to, że badacze nazywają obecny ustrój pogańskim i że kościół katolicki jest ich zdaniem przesiąknięty również pogaństwem. Tego było już za wiele. Ta niesubordynacja „nie mogła być pominięta milczeniem“ przez b-pa sandomierskiego, zwłaszcza że jak pisze:

> R z ą d n a s z p o d w p ł y w e m b r o s z u r y (ks. prałata Górskiego) s t a w i a t a m ę a g i t a c j i B a d a c z y, przynajmniej na terenie mojej djecezji, i przypuszczam, że znajdzie się w trudnej sytuacji gdy Badacze zaczną się powoływać na „Gazetę kościelną“.

W konkluzji swego listu b-p. sandomierski żąda od arcybiskupa lwowskiego wywarcia nacisku na redakcję „Gazety kościelnej“, aby odwołała swe błędy i potępiła również badaczy pisma, jako komunistów, działających na szkodę państwa polskiego.

Żądaniu stało się zadość. Fałsze i oszczerstwa sandomierskiego prałata stały się prawdą obowiązującą i w djecezji lwowskiej, a badacze pisma nie będą mogli się już dziś

powoływać wobec władz na bezstronny sąd lwowskiego „duszpasterza".

Katolicyzm bez kłamstwa, uświęconego celem, żyć nie może. Dlatego precz z wolnością myśli i sumienia! ku większej chwale bożej — najmilsi.

BEZBOŻNE ŚLUBOWANIE

P. Roman Rybarski oburza się w *„Gazecie warszawskiej"* z 6.VIII, że:

W obecności p. prezydenta Rzeczypospolitej, p. premjera i innych dygnitarzy, także niektórych duchownych wyznania rzymsko-katolickiego, młodociani członkowie „Straży Przedniej" składali dnia 16 lipca w Gdyni „ślubowanie", w którem niema mowy o bogu i narodzie. Nie przysięgę religijną, choćby w najbezbarwniejszej pod względem wyznaniowym postaci, lecz „ślubowanie".

Rota ślubowania zawiera sui generis program — nawet obejmuje i dziedzinę ekonomiczną, czemu warto specjalnie poświęcić uwagę. Ślubowanie zaczyna się od słów: „w imię naczelnego dobra honoru i potęgi państwa polskiego uznaję, iż praca jest źródłem wszelkich wartości" i t. d., a kończy zdaniem: „prawdy te będą drogowskazem życia mego w służbie państwa".

Autor widzi w tak postawionej kwestji wielkie niebezpieczeństwo dla własności i ustroju kapitalistycznego — albowiem bezbożna rola ślubowania godzi w religję, jako jedyny drogowskaz życia ludzkiego—wysuwanie zaś pojęcia pracy na czoło zagadnień związanych z pracą dla „potęgi państwa", doprowadzi łatwo do poglądów Marxa o nadwartości, powstającej z pracy robotnika, którą w dzisiejszym stanie rzeczy przywłaszcza sobie kapitalista, czyli poprostu kradnie i tą kradzieżą się bogaci, mając wzamian robotnika za hetkę pętelkę. Młodzież więc składająca przysięgę na pracę i to co z niej powstaje, doprowadzi—ją zdaniem p. R. do — kolektywizmu, czyli do nieuznawania

dochdów z kapitału, dziedziczenia majątku, bo majątek jest rezultatem cudzej pracy...

zwróci się ona

przeciw własności prywatnej, przeciw dochodowi z kapitału. Że wśród najmłodszych sanatorów istnieją w tym kierunku duże skłonności, o tem dobrze wiadomo tym, którzy to ślubowanie układali. I niejeden młody człowiek, szukając wzoru urzeczywistnienia tej prawdy, że praca jest źródłem wszelkich wartości, zwróci swój wzrok na wschód.

A tego p. Rybarski wcale sobie nie życzy, nietyle dla siebie, co dla „swoich".

KLERYKALIZOWANIE ARMJI

„Kurjer Warszawski" (Nr. 169 z 21.VI) cieszy się, że

w centrum wyszkolenia piechoty w Zambrowie powstała Sodalicja Marjańska, która, jak na warunki wojskowe, rozwija się zupełnie normalnie (!) Członkowie Sodalicji uczęszczają na wspólne nabożeństwa i zebrania, oraz wspólnie przystępują do komunji świętej.

Powstanie Sodalicji odegra bezsprzecznie bardzo poważną rolę. Sodalicje wojskowe są bowiem jak dotychczas, zupełną nowością. Zadanie ich jest szczególnie ważne w podchorążówkach, gdzie odbywają służbę wojskową podchorążowie ze średniem i wyższem wykształceniem.

Podchorążówki są szkołami państwowemi, a w szkołach państwowych nauka religji jest przedmiotem obowiązkowym, ta zaś obowiązkowość wprowadza katechetę do szkoły, który w niej momentalnie zakłada jaczejkę klerykalną i dewocjonuje młodzież. Sodaličja w korpusie oficerskim „ze średniem i wyższem wykształceniem“, to gratka nielada z punktu widzenia „naszych okupantów“. Nie dziw też, że organ rodziny Lewentalów śpiewa z tego powodu „Hosanna!“

Z książek

Henryk Ułaszyn. Zasięgi klerykalizmu w Polsce powojennej. Poznań 1933, nkłd Zw. Polskiej Młodzieży Demokratycznej, str. 48 cena zł. 1.

Doskonała broszura propagandowa. Jest to kilkakrotnie powtarzany w Poznaniu odczyt z ramienia Zw. Polskiej Młodzieży Demokratycznej na powyższy temat.

Z licznych zasięgów klerykalizmu w Polsce powojennej autor omówił następujące: akcję katolicką; kartoteki parafjalne; małe seminarja, przygotowujące z biednych zdolniejszych chłopców janczarów papizmu w Polsce; zjazdy, kongresy, i dni katolickie; narzucanie społeczeństwu specjalnego słownictwa, klerykalizacja szkoły, harcerstwa; zwalczanie innych wyznań i kościołów, potępienie działalności YMCA, metodystycznej armji zbawienia; zwalczanie ślubów cywilnych; kremacji, domaganie się kleru, aby rząd uzgadniał z nim wszystkie ustawy i neounję.

Aby zasięg ten osłabić autor proponuie przedewszystkiem dwa środki: świecką szkołę i rozdział kościoła od państwa.

Broszurę prof. Ułaszyna gorąco polecamy naszym czytelnikom.

Do nabycia w administracji „Wolnomyśliciela“.

W.

UWAGA! INAUGURACYJNY ODCZYT W B. SEZONIE.

W dniu 2 wrzesnia r. w sobotę o godz. 8-ej wiecz. w lokalu P. Z. M. W. przy ul. Królewskiej Nr. 16 ob. prof. *I. MYŚLICKI* wygłosi odczyt p. t. „WIARA A WIEDZA“.

Po odczycie dyskusja.

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	zagranicą 3 i pół dol. rocznie
kwartalnie	„ 5.00	numer pojedyńczy 60 gr.

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 718-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktorka **Marja Jankowska**—Wyd.: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu“.**

Druk. F. Kierski, Warszawa, Żelazna 28, tel. 286-54.